GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych

ROK IV | W OBOZIE, DNIA 1 GRUDNIA 1943 R. | NR. 23 (79

Owoce pracy w niepodległej Polsce

(11 XI 1918 — 1 IX 1939)

Ofiarą krwi i wysiłków całego narodu Polska odzyskała po poprzedniej wojnie niepodległość i stanęła wobec olbrzymich zadań zbudowania nowoczesnego państwa. Musiało ono odpowiadać wymaganiom XX wieku, a w tym celu trzeba było zrobić wszystko możliwe, aby dotrzymać kroku Europie i odrobić zaległości z okresu zaborczego. Granice, jakie Polska uzyskała, nie ułatwiały tego zadania. Nie były one dobre ani z punktu widzenia strategicznego ani gospodarczego. Na północy pozostawiono Prusy Wschodnie, niemiecką wyspę, które wraz z Gdańskiem zagrażały Polsce militarnie i odgradzały ją od morza. Na zachodzie podział Śląska był wielkim ciosem zarówno pod względem narodowym jak i gospodarczym. O wschodnią granicę musiała Polska prowadzić wojnę wtedy, kiedy pozostała Europa leczyła się już z ran, poniesionych w wojnie światowej. Dopiero po zwycięskim zakończeniu tej wojny o niepodległość mogła Polska pomyśleć o odbudowie i rozbudowie kraju.



Z trzech zaborów, które miały odmienne urządzenia i różne braki, trzeba było stworzyć jednolite państwo. Niestety, Polska nie uzyskała w tym kierunku należytej pomocy, a nawet nie miała koniecznego spokoju, w jakim mogłaby te prace prowadzić. Główną przeszkodę stanowiły niemieckie dążenia rewizjonistyczne, grożące nowymi powikłaniami wojennymi. Na zachodzie miano zbyt mało zrozumienia dla spraw polskich, a antypolska agitacja propagandzistów niemieckich, odwetowców, odniosła m. in. ten skutek, że Polska nie mogła otrzymać koniecznych kredytów. Odmawiano ich Polsce, jakkolwiek udzielano ich na dogodnych warunkach Niemcom, chociaż kraj ten nie zaznał zniszczeń wojennych. A jednak Polska potrafiła w krótkim czasie zorganizować w całym kraju administrację, finanse, sądownictwo, szkolnictwo, wojsko itd. Stworzyła też mimo trudności, jakie musiała pokonać, warunki pod kulturalny i gospodarczy rozwój kraju. Po dwudziestu latach mogła pochwalić się pięknymi wynikami.

Na polu gospodarczym przeprowadziła Polska wiele reform. Do najważniejszych należy reforma rolna. Wskutek braku uprzemysłowienia kraju 65% trzydziestopięciomilionowego narodu polskiego pracowało na roli; spowodowane tym przeludnienie wsi było jedną z przyczyn jej trudnych warunków życia. Dla ich poprawy przeprowadzała Polska stopniowo reformę rolną, która w latach 1919-1937 (za dwa dalsze lata trudno znaleźć dane statystyczne) rozparcelowała 6,5 miliona ha większej własności, by stworzyć z tego 146.000 nowych gospodarstw chłopskich i uzupełnić dalszych 476000 za małych. Wspomnianych 6,5 miliona ha to więcej niż połowa większej własności, znajdującej się w roku 1931 w rękach większych właścicieli (ponad 124 ha), na co warto wskazać choćby ze względu na zagranicą często spotykaną a mylną opinię, że Polska jest krajem „wielkich obszarników". Dalsze stosowanie reformy rolnej miało głównie na celu powiększanie karłowatych gospodarstw (poniżej 5 ha). Mimo swej doniosłości reforma rolna nie poprawiła

w dostatecznym stopniu położenia wsi, ponieważ wielki przyrost ludności (11,2 na 1000) zbytnio ją obciążał, a niedostateczne uprzemysłowienie kraju uniemożliwiało odprowadzenie nadwyżki do miast.

W Polsce istniało wprawdzie około 275.000 zakładów rzemieślniczych i przemysłowych, z tego 250.000 rzemieślniczych, a tylko 25.000 przemysłowych, które zatrudniały około 800.000 ludzi, to jednak w żadnym wypadku nie mogło rozwiązać zagadnienia przeludnienia wsi. Aby z niego znaleźć wyjście, a jednocześnie stworzyć dla kraju lepsze możliwości obrony, Polska przystąpiła do budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP), położonego w środkowej i południowej połaci kraju. Okręg ten stał się symbolem polskiego dążenia do rozwoju i postępu. Z lasów wynurzyły się dymiące kominy, na rzekach podgórskich powstały wielkie zapory wodne. Gdzie przed tym były lasy i pola, pojawiły się nagle huty, fabryki maszyn, wytwórnie chemiczne itp. To olbrzymie dzieło musiała Polska prowadzić własnymi siłami, nie otrzymała bowiem żadnej pomocy z zewnątrz, a fakt ten wpłynął na to, że wielkie to zamierzenie nie zostało wykończone przed r. 1939 i nie mogło wpłynąć na wzmożenie polskich możliwości obronnych.

Dla zbytu polskich wytworów rolnictwa i przemysłu trzeba było należytych dróg komunikacyjnych. Państwa zaborcze wprawdzie budowały drogi, ale niedostateczne i tylko z punktu widzenia własnego systemu gospodarczego i wojskowego, nadto zaś drogi te, a szczególnie mosty zostały podczas dwóch kolejnych wojen zniszczone, toteż odrodzone państwo polskie musiało również nadrobić bardzo wiele w dziedzinie komunikacyjnej. Istniejące drogi trzeba było dostosować do nowych warunków życia gospodarczego, nadto zaś pobudować nowe. W latach 1920—1938 wybudowano 2,000 km nowych linii kolejowych i 18,000 km nowych dróg bitych.

Polska otrzymała wprawdzie niewielki dostęp do morza, chciała jednak prowadzić handel zamorski, aby w ten sposób umocnić swą niezależność gospodarczą. Początkowo miała do swego użytku tylko port w Gdańsku, kiedy już jednak ten nie mógł (a i nie chciał) podołać potrzebom naszego państwa, wybudowano port w Gdyni. W tempie więcej niż amerykańskim stała się Gdynia największym portem bałtyckim, choć w roku 1921 była jeszcze maleńką wioską rybacką. Gdynia pokazała światu polski rozmach i polskie umiejętności. Same za siebie mówią cyfry: w r. 1938 wpłynęło do portu gdyńskiego już 6500 statków o wyporności 6,5 miliona t; przywiozły one 1,5 miliona t towarów obcych, a wywiozły 7,6 miliona t polskich towarów.

Dla potrzeb handlu morskiego trzeba było stworzyć marynarkę handlową. W chwili wybuchu wojny obecnej posiadała ona wprawdzie dopiero 71 statków o wyporności 102,000 t, spisała się jednak doskonale i dzisiaj jeszcze odgrywa ważną rolę w służbie zjednoczonych narodów. Obok marynarki handlowej wybudowała też Polska małą co prawda, ale dzielną flotę wojenną, z której każdy Polak może być dumny. Walczy ona bez przerwy od pierwszej chwili wojny, zdobywając sobie sławę i wiele szczerego uznania Sprzymierzonych.

Geopolityczne położenie Polski zmuszało ją do stałego utrzymywania dużego wojska. Koszty zbrojenia były dla Polski bardzo wielkim obciążeniem, były jednak konieczne. Wskutek braku należytych możliwości finansowych kraju wojsko nie mogło być należycie zaopatrzone w nowoczesną broń — aczkolwiek było już ku temu na dobrej drodze — i dlatego musiało ulec technicznej przewadze wroga.

Jeśli chodzi o sprawy kulturalne i społeczne, to trzeba stwierdzić, że i w tej dziedzinie Polska zrobiła dużo. Państwa zaborcze, szczególnie Rosja, nie dbały o oświatę ludu polskiego i wobec tego odrodzona Polska miała na swoim obszarze 30% analfabetów. Po 20 latach polskich wysiłków odsetek ich dzięki powszechności nauczania spadł do 15%. Szkolnictwo rozwijało się z roku na rok. Wybudowano ponad 2000 nowych szkół, szczególną troską otoczono szkolnictwo zawodowe, a sześć uniwersytetów i kilka innych wyższych uczelni kształciło polską młodzież. Polska nauka i sztuka, jak i wszelkie instytucje kulturalne (teatr, radio, prasa itp.) stały na bardzo wysokim poziomie i świadczyły o bujnej sile rodzimej polskiej kultury, jak i jej przynależności do kręgu kultury zachodnio-europejskiej.

W dziedzinie społecznej dużym osiągnięciem był fakt, że robotnik polski korzystał z doskonałych ubezpieczeń, jakie są udziałem niewielu tylko krajów. W Polsce bowiem obowiązywało powszechne ubezpieczenie na wypadek choroby i starości, do którego niektóre państwa europejskie dopiero teraz dochodzą.

Jest rzeczą zrozumiałą, że po długiej niewoli państwo musiało szukać właściwej drogi, a szukając jej popełniać i błędy. Tych błędów musimy w przyszłości unikać. Jeśli jednak Polska wyjdzie z tej wojny z lepszymi granicami, umożliwiającymi jej należyty rozwój gospodarczy i dającymi większą ochronę od najazdów, wtedy — w oparciu o rzetelną pracę — pokażemy światu, że Polska to wielka rzecz. *C. S.*

MUSIMY SIAĆ

Musimy siać... Choć grunta nasze marne,
Choć nam do orki pługów brak i bron.
Musimy siać... Choć wiatr porywa ziarna,
Choć w ślad za siewcą kroczą stada wron.

Musimy siać, nie wiedząc w którą stronę
Poniesie wiatr i w ziemię rzuci siew,
Nie wiedząc, kto i gdzie pozbiera plony,
W dożynki czy radosny huknie śpiew.

Nie wolno nam ni sił, ni dnia marnować,
Musimy siać. Musimy tworzyć cud...
Nie wolno nam po śpichrzach ziarno chować,
Na świecie głód, na świecie straszny głód.

A nas tak mało, tych co mogą pono
Ze swych zapasów — szczyptę braciom dać...
I niech nie przy nas wzejdzie ruń zielona,
My róbmy swoje. My — musimy siać.

JÓZEF MONDSCHEIN

OSTRZEŻENIE

(Według opowiadania por. R.*)

Porucznik siedzi na poręczy żelaznego łóżka, odstępując mi jako gościowi jedyne krzesło. Jest pełen najlepszych chęci i naprawdę chciałby opowiedzieć coś specjalnie zajmującego, ale właśnie z tym ma kłopot.

»... Bo widzi pan... u nas to właściwie nic się nie dzieje. Lecę na zadanie. Wymiatanie czy ochrona bombowców. ... Nieraz spotkam Niemców, nieraz nie. Jeżeli mam szczęście i spotkam, to jest walka... Ale walki też właściwie są podobne jedna do drugiej. Ja strzelam i on strzela... Atak z wysokości, czy od słońca, czy łeb w łeb... Nieraz widzę, że się rozbił. Nieraz mogę tylko stwierdzić, że posypały się z niego jakieś drzazgi, albo że dymił... Przecież nie ma czasu na dokładną obserwację... To są sekundy...

Niekiedy, bardzo rzadko, zdarzy się coś... Jakaś ciekawsza historia. ... Może to zbieg okoliczności, przypadek, czy ja wiem zresztą co... Miałem niedawno takie jedno zdarzenie.

Wracaliśmy znad Francji, gdzie naszych dwanaście maszyn natknęło się na sześćdziesiąt Messerschmittów. Strąciliśmy dwóch Niemców. Sami straciliśmy trzy maszyny. Dowódca dał rozkaz: »Do Anglii«. Każdy z nas z trudem wyrwał się atakującym Niemcom i gnał na pełnym gazie nad Kanałem do swych baz. Szliśmy w rozsypce, daleko jeden od drugiego.

Amunicję mieliśmy wyczerpaną. Radio podało mi rozkaz dowódcy dywizjonu, aby zejść do lotu koszącego. Nisko nad samą wodą. Taki lot jest w podobnych okolicznościach najbezpieczniejszy.

W chwili usłyszenia rozkazu znajdowałem się na wysokości około 12,000 stóp. Pochyliłem mego Spitfire'a w dół i schodzę do »kosyniera«. Nie dawałem dużego gazu, ale maszyna szła ostro, szybkość zaś zwiększała się z każdą sekundą. Przebijam się przez cienką warstwę chmur i schodzę coraz niżej. Samolot ze świstem tnie powietrze. Nad Kanałem jak zwykle lekka mgła. Wskazówka wysokościomierza spada coraz prędzej. Już sześć tysięcy stóp, już cztery tysiące, trzy tysiące... W uszach szum i pulsowanie krwi... Dwa tysiące stóp... Spitfire wali na dół błyskawicą. Morze coraz bliżej...

I wtedy, gdy już miałem wyciągnąć maszynę do poziomego lotu, słyszę nagle w słuchawkach: »Uważaj, Messerschmitt za tobą!« Nie myśląc o tym kto mnie ostrzega kładę samolot w ostry skręt w lewo. Aż mi w oczach poczerniało. W tej chwili, w prawo ode mnie, mignął cień niemieckiej maszyny...

Siedział mi widocznie cały czas na ogonie. Ale nie zdążył skręcić za mną. ... Czy było to chwilowe zamroczenie niemieckiego pilota, czy ułamek sekundy jakiejś nieuwagi... Nie wiem. Zresztą Spitfire to wspaniały samolot... Ale to zdecydowało. Przeleciał koło mnie błyskawicą i uderzył całym pędem o powierzchnię wody... Zobaczyłem tylko wysoki wytrysk, a potem już nic.

A co jest najciekawsze z całej historii to to, że nikt z mojego dywizjonu mnie nie ostrzegał... Po wylądowaniu pytałem wszystkich. Nikt. A przecież słyszałem wyraźnie po polsku wypowiedziane słowa: »Uważaj, Messerschmitt za tobą«. Dlatego skręciłem. Inaczej Niemiec byłby zestrzelił mnie jak kaczkę. Jakiś inny nasz dywizjon walczył widocznie w tym samym czasie nad Francją... Prawdopodobnie inny Messerschmitt siedział na ogonie jednemu z naszych pilotów. I kolega jego, widząc to, ostrzegał go przez radio. A działo się to w tej samej sekundzie, kiedy Niemiec, trzymając mnie na celowniku, naciskał już palcem spust swoich karabinów maszynowych. Radio nasze ma zasięg kilkudziesięciu kilometrów... Usłyszałem to ostrzeżenie... Skręciłem machinalnie... Niemiec zginął. Albo, albo...«

Porucznik nie kończy zdania... Patrzy przez okno baraku na siniejące daleko za lotniskiem wzgórza. I wiem, że myśli to samo co i ja w tej chwili... Że za tymi wzgórzami, na wschodzie jest jeden kraj, kraj jedyny na świecie. Daleko, daleko stąd. Dużo dalej niż zasięg lotniczego aparatu radiowego. Och, jak strasznie daleko...

Ale nie ma takiej odległości, której nie przebyłaby myśl ludzka. Albo modlitwa. *T. J.*



*) „Skrzydła" nr 3/404.

TROPAMI CIERPIENIA

W walce o życie setkami umierających dzieci polskich, wywiezionych z Rosji, mieliśmy zaledwo dwie wykwalifikowane siostry.

Mówią one o dzieciach, jakby nie miały setek pacjentów dorosłych. W oczach ich wszystkich stoi straszna wizja młodych jestestw, które ginęły w oczach personelu na choroby, które w normalnych warunkach dałoby się opanować. Te dzieci - męczennicy, to całkiem inny typ dziecka. Widziałem tych odratowanych chłopców w szkołach rzemieślniczych, z jakim nabożeństwem przykładają się do pilnika, z jakim dorosłym poczuciem dojrzałego człowieka patrzą przed siebie. Pokazywano mi jednego z nich, który mając 12 lat utrzymywał rodzinę, złożoną z siedmiu osób, spekulując machorką, którą przemycał na niewiarygodne przestrzenie.

Opowiadały mi świetliczarki, że kiedy poczęto tworzyć pierwsze przedszkola i kiedy próbowały utartymi przedwojennymi wzorami inicjować gry w kotka i myszkę, w »lata ptaszek po ulicy« — patrzyły na nie oczy starców, oczy z pomarszczonych twarzyczek, tak że im piosenka zamierała w półsłowa, bo okazywała się w tych warunkach głupawa, pusta i w swej obcości bezdennie tragiczna.

»Pamiętam to było 7 października 1942 r. — mówi cicho jedna z sióstr — doszczętnie zżarty przez pelagrę[1]) czternastoletni junak[2]) Marian Strzałkowski poprosił mnie o przyprowadzenie z sierocińca 13 letniego brata. Rodzice chłopców zmarli w Rosji. Kiedy młodszy, Wincenty, stanął przy jego łóżku, pouczał go jak ma się zachowywać, aby się ustrzec zaziębień i malarii, oddał mu swój scyzoryk, pożegnał i prosił, aby brat pozdrowił od niego wszystkich w Polsce. Z trudnością przypominał sobie, komu brat ma oddać pozdrowienia w Polsce, którą opuścił, gdy miał 11 lat. Odtwarzał to sobie mozolnie z pamięci i ze słów umierających rodziców, starając się przekazać ich ostatnią wolę temu ostatniemu żyjącemu. Chłopcy mówili ze sobą z powagą starców, którzy widzieli wiele zgonów. Uściskali się. Marian zmarł 12 października«.

»Urządziliśmy im św. Mikołaja — mówi jedna z sióstr i głos jej się łamie i nie wiadomo czy uśmiecha się czy płacze — pierwszego św. Mikołaja, jakiego mieli od wyjścia z Polski. Rozeszła się wieść, że do szpitala przyjdzie święty staruszek, że napytał w Polsce wreszcie o drogę do swoich dzieci. Najmłodsze maleńtasy już nie wiedziały o nim, ale im starsi żarliwie tłumaczyli. Poczęło się pisanie kartek z życzeniami, tak jak w Polsce pisano. Dzieci prosiły o cukierki, ale i o... buty. I po raz to pierwszy zapewne św. Mikołaj miał tak obfitą pocztę do nieba: aby pozdrowić tatę, mamę, braciszków, siostrzyczki — wszystko to było wypisane nader starannie, aby święty się nie zmylił, tak jak tego wymagają podania urzędowe: nazwisko najpierw, potem pełne imię, gdzie maleńki zmarły na biegunkę Wicio był traktowany jako Wincenty, a drobna sześcioletnia Ania, którą zabrało zapalenie płuc w ziemlance szklącej lodem --- jako Agnieszka.

Kiedy św. Mikołaj wszedł między dziecinne łóżka i tapczaniki, nastawiały się chłonne dziecinne oczy widzące przez dwa lata tylko brud, szarość i nędzę --- na tę koronę złotą, na tę purpurową szatę, na pastorał skrzący od drogich kamieni, na kosz z prezentami suto zdobiony, z którego małe aniołki wydobywały skromne prezenty, wydające się szczytem szczęścia. Mała Marysia, której nie udało się odratować, mała sześcioletnia Marysia, której zadarty nosek i twardo splecione mysie ogonki musiały budzić tyle matczynych uśmiechów, teraz uniosła opłatkową twarz o wyostrzonych rysach, na których leżał cień śmierci. Jeszcze zdążyła otrzymać od św. Mikołaja małą laleczkę z gałganków. Laleczki już dziecko nie miało siły wziąć w rękę. Patrzyło w św. Mikołaja i wargi jej poruszyły się. Pochyliłam się nad nią:

— Wiedziałam, że przyjdziesz, św. Mikołaju — mówiło dziecko — pamiętam ciebie z Polski. Pewno na Syberię miałeś za daleko... *).

Melchior Wańkowicz

---

[1]) Choroba z braku witamin, [2]) rodzaj harcerzy, organizowanych w specjalne hufce dla szkolenia i dla pracy.
*) „Orzeł Biały“ nr 34/73 z dnia 29.8.43 r.

Nie jestesmy pierwszymi...

Szwajcaria a prawo azylu

Wiadomo na ogół, że nie jesteśmy pierwszymi Polakami, którzy doznają gościny szwajcarskiej, nie wszyscy jednak wiedzą, jak często Szwajcaria udzielała schronienia przedstawicielom różnych narodowości, szukających go podczas wojen czy prześladowań religijnych lub politycznych. Tę piękną stronę tradycji szwajcarskiej co do tzw. prawa azylu naświetla ciekawy artykuł tygodnika »Die Nation«*), który poniżej streszczamy.

Już w najdawniejszych czasach stosowano prawo udzielania schronienia w stosunkach między poszczególnymi kantonami i to pozwoliło powołać się sławnemu reformatorowi Zwingli'emu na tradycję, kiedy trzeba było udzielać opieki ofiarom wojen religijnych.

Pierwszy wielki napływ uchodźców zagranicznych wiąże się z rzezią innowierców we Francji w r. 1572 (tzw. »nocą św. Bartłomieja«), kiedy to przybyło z Francji 2360 rodzin. Osiadły one wówczas w Genewie, ale ich utrzymaniem zajmował się również kanton berneński i zuryski.

Zniesienie edyktu nantejskiego (1685), powodujące prześladowanie ewangelików we Francji (tzw. hugenotów), zmusza ich do ucieczki m. in. do Szwajcarii. W latach 1684—1750 Szwajcaria przyjęła około 140,000 uchodźców, udzielając im nie tylko schronienia, ale i pomocy materialnej. W tym celu uchwalono specjalny podatek na rzecz hugenotów, a obywatelom szwajcarskim nakazano przyjmować ich do stołu. Uchylający się od tego świadczenia byli karani! Oczywiście trudno obliczyć, czy wysokie były świadczenia związane z ofiarnością prywatną, wiadomo natomiast, że wydatki samej tylko Genewy na ten cel wyniosły w latach 1682 — 1720 sumę 5 milionów genewskich guldenów.

Dalszą falę uchodźców przyniosły z Francji wypadki związane z wielką rewolucją francuską i upadkiem Napoleona.

W r. 1833 przybyło do Szwajcarii 416 powstańców polskich. Osiedli oni w kantonie berneńskim.

W r. 1848 przybyło około 3000 uchodźców włoskich po upadku powstania przeciw panowaniu austriackiemu.

Po upadku naszego powstania styczniowego 1863/64 przybyło znowu do Szwajcarii ponad 2,000 Polaków, a ustawy bismarckowskie przyczyniły się w latach osiemdziesiątych ub. wieku do tego, że demokraci i socjaliści niemieccy szukali również schronienia w Szwajcarii. Ostatnią poprzedzającą nas falą byli wojskowi i cywilni uchodźcy podczas pierwszej wojny światowej, którzy przebywali wtedy w Szwajcarii w liczbie około 26,000.

Udzielenie schronienia wiązało się niejednokrotnie z wielkimi trudnościami, Szwajcaria nie uginała się jednak przed nimi i pozostawała zawsze wierna swym szlachetnym zasadom. Lata 1680 — 1720 były szczególnie ciężkie, gdyż słabe urodzaje utrudniały wyżywienie przybyłych, a nadto pogróżki królów francuskich groziły powikłaniami politycznymi. Raz tylko uległa Szwajcaria naciskowi i opłaciła to bardzo drogo. Było to za czasów dyktatury Napoleona. Za żądaniem wydania uchodźców, któremu uległa, poszły coraz inne żądania, aż wreszcie skończyło się zajęciem Szwajcarii przez Napoleona.

Po upadku Napoleona Szwajcaria wróciła do do swych dawnych obyczajów i sprzeciwiła się żądaniom Metternicha, który domagał się wydania uchodźców i zniesienia wolności prasy. Szwajcaria oparła się naciskowi św. Przymierza, mimo że jej groziła wtedy nawet wojna.

Chwalebna była również postawa Szwajcarii po upadku powstań polskich w latach 1831 i 1863. W pierwszym wypadku odpowiedziała Szwajcaria na żądanie wydania uchodźców rządowi pruskiemu: »Żadna siła na świecie nie przeszkodzi Szwajcarii w stosowaniu prawa chronienia«, a w r. 1863 sławny pisarz szwajcarski Gotfryd Keller dał najlepszy wyraz temu, co dzisiaj nazywa się bezpieczeństwem zbiorowym, pisząc: »Podnosząc głos przeciw nadużywaniu siły, Szwajcaria broni swej wolności i niepodległości«.

(Dokończenie obok)

---

*) „Die Nation“, nr 40 i 41 z 20 i 28 października 1943. Art. pt. „Vom schweizerischen Asylrecht“.



SPIESZYMY Z POMOCĄ

20,000 paczek...



Aide Suisse aux Prisonniers de Guerre Polonais nadesłała nam następującą odezwę:

DRODZY PRZYJACIELE. Od przeszło trzech lat Komitet nasz robi wszelkie wysiłki, aby przyjść z jak najwydatniejszą pomocą Waszym Rodakom, którzy już ponad 4 lata przebywają w niewoli. Warunki ich w miarę przedłużania się wojny pogarszają się coraz bardziej. Zaledwie niewielka liczba jeńców korzysta obecnie z pomocy rodzin, olbrzymia większość natomiast zdana jest jedynie na opiekę towarzystw charytatywnych.

W czasie naszej działalności wysłaliśmy już ponad 20.000 paczek do około 6000 jeńców. Ponad 500 jeńców korzysta ze stałej pomocy krewnych lub opiekunów z terenu szwajcarskiego, otrzymując co miesiąc paczki żywnościowe.

W akcji tej poczesne miejsce zajmujecie Wy, drodzy internowani. Jesteśmy pełni uznania dla Waszej ofiarności, zwłaszcza wiedząc, że częstokroć wyłożenie choćby najdrobniejszej sumy czyni duży wyłom w Waszym skromnym budżecie. Zdajemy sobie też w pełni sprawę, jak ciężko musicie pracować na te pieniądze. Czytając Wasze pismo wiemy, że nieustannie myślicie o pomocy potrzebującym rodakom. Troszczycie się o polskie dzieci, pomagacie rodakom przebywającym w Rosji, rodzinom w Polsce, wspieracie kolegów internowanych w innych krajach, mało to — opiekujecie się nawet dziećmi jugosłowiańskimi. Mamy też nadzieję, że trafi do Waszych serc i nasz obecny apel. Zapewniamy Was, że mamy pełny szacunek dla Waszej ofiarności. Poznajemy nie tylko Waszą wielką miłość do Ojczyzny, ale i także gotowość niesienia pomocy potrzebującym. Wasza ofiarność jest niejednokrotnie wielkim bodźcem dla nas w ogóle, a dla Komitetu w szczególności.

W trosce o dobro jeńców polskich szukamy wszelkich możliwych źródeł zdobycia gotówki i staramy się o najwartościowszą pomoc. Ostatnio mieliśmy sposobność zawrzeć bardzo korzystną umowę o dostawę paczek argentyńskich i brazylijskich. Są to paczki 5-kilogramowe o doskonałej zawartości.

Fundusze nasze są jednak niewystarczające. Nie mając stałych wpływów, zdani jesteśmy tylko na dorywcze datki ofiarodawców. Ten stan rzeczy nie pozwala nam objąć opieką wszystkich potrzebujących. A jest ich wielu.

Ostatnio poza normalną opieką nad stałą liczbą jeńców zainteresowaliśmy się żywo losem chorych. Nawiązaliśmy łączność z mężami zaufania szpitali, którzy regularnie przysyłają nam nalepki najbardziej i najszybciej potrzebującym pomocy. Są to głównie nalepki chorych na gruźlicę, którzy częstokroć już od czterech lat nie opuszczają murów szpitalnych. Lekarze błagają nas o pomoc, a chorzy piszą:

»Od trzech lat leżę na izbie chorych. Ostatnio założono mi odmę na prawe płuco. Proszę o paczkę, bo rodzina moja nie może mi przysyłać, gdyż jest w Rosji«.

»Stale otwierają mi się rany. Lekarz stwierdza, że to z powodu niedożywienia. Proszę Panów o pomoc«.

Takich listów dostajemy setki. Pomagamy im jak możemy przez wysyłkę żywności, mundurów, a często i lekarstw. W zamian za to otrzymujemy wspaniałą nagrodę. Osądźcie sami, czy nie chwyta za serce taki prosty list:

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Szanowni Panowie, donoszę, że nadaną paczkę pod moim adresem odebrałem 26 bm. Bardzo dziękuję Panom za nią i składam starym zwyczajem serdeczne Bóg zapłać. Jest to moja pierwsza paczka w niewoli. Niech Panów Bóg pobłogosławi za ten dar«. Rejmaniak Piotr nr 13143, Stalag II E, Izba chorych.

Drodzy Przyjaciele, w największej mierze Wy popieracie naszą działalność i poważną część paczek wysłaliście z Waszych ciężko zapracowanych datków. Znów pozwalamy sobie zwrócić się do Was z prośbą o poparcie naszej akcji pomocy chorym. Chcielibyśmy tym najnieszczęśliwszym z nieszczęśliwych wysłać teraz paczki z okazji świąt Bożego Narodzenia. Pragnęlibyśmy dowieść im w tym uroczystym dniu, że nie są oni opuszczeni w swej niedoli, że są ludzie dobrzy, którym głęboko w sercu tkwi ich smutny los. Wiemy, że zasiadając do stołu wigilijnego będziecie ich żywo wspominali, ale uczyńcie, aby i oni, spożywając skromny posiłek, podziękowali Wam za cenne dla nich dary.

Prosimy Was o zorganizowanie na terenach obozów **jednorazowej** zbiórki i przekazanie nam zebranych sum do naszej dyspozycji.

Jesteśmy pewni, że apel nasz nie pozostanie bez echa i że wkrótce będziemy mogli wysłać, dzięki Wam, pierwsze paczki gwiazdkowe.

E. CERESOLE

Szwajcaria a prawo azylu (dok. ze str. 4)

W r. 1889 Szwajcaria nie uległa również pogróżkom Bismarcka i oświadczyła wtedy, że jej neutralność nie może być poczytywana za wyrzeczenie się suwerenności. Niemieckiej groźbie naród szwajcarski dał należytą odpowiedź, podpisując dwudziestomilionową pożyczkę na cele wojskowe.

Problem uchodźczy podczas pierwszej i obecnej wojny światowej wiąże się już z pojęciem internowania, z obozami i wszelkimi aż nadto dobrze nam znanymi zarządzeniami, ale o tym wspomniane artykuły nie piszą, więc zakończymy ich streszczenie wzmianką, która przypomina dobre, dawne czasy. Było to w latach 1831 i 1848. Uchodźcom dawano wtedy daleko idącą swobodę i pozwalano im na spełnianie ich zawodów na równi ze Szwajcarami. Skutek był doskonały! Współpracy obcych uczonych zawdzięcza uniwersytet w Zurychu swoje powstanie i rozwój.

PODZWONNE

Śp. plut. pchor. NIEMCZYK Antoni, z 1 komp. 6 pp., ur. 16 czerwca 1916, zmarł dnia 25 sierpnia 1943 w szpitalu w Schwarzenburg. Pochowany został 28 sierpnia 1943 na cmentarzu gminnym w Brugg.

Śp. asp. CYROŃ Alojzy z obozu uniw. we Fryburgu, ur. 17 kwietnia 1914, zmarł wskutek wypadku w Graubünden 30 sierpnia 1943.

Śp. kpr. SZYMAŃSKI Marian z obozu Ruis, ur. 4 listopada 1915, zatonął w Renie 15 września 1943.

Śp. sierż. OLSZEWSKI Jan z Kwatery Głównej, ostatnio w Reichenburg, ur. 4 lipca 1893, zmarł wskutek wypadku 20 września 1943. Pochowany w Reichenburg (Schwyz).

Śp. sierż. DULĘBA Stanisław, ur. 17 grudnia 1896, zmarł w szpitalu w Lucernie 8 października 1943.

Śp. sierż. SENKOW Franciszek, ur 1902, zmarł 9 października 1943 w sanatorium „Le Chamossaire“. Pochowany został 11 października 1943 na cmentarzu w Leysin.

Śp. strz. ZAKRZEWSKI Wacław, ur. 22 czerwca 1914 w Żyrardowie, utonął w Aarze koło Unterbach (kt. Bern) 17 października 1943. Pochowany został 20 października 1943 w Meiringen.

Śp. strz. WIDUCH Jan z 4 komp. 6 pp., ostatnio w Dättwil, ur. 13 stycznia 1899, zmarł po ciężkiej chorobie 26 października 1943 w szpitalu w Zurychu. Pochowany został 28 października 1943 na cmentarzu gminnym w Fislisbach.

Śp. kpr. OLCZYK Marian, z 2 komp. km, ur. 30 września 1920, zmarł w szpitalu w Lugano. Pochowany został w Losone.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

W pogrzebie wzięli udział przedstawiciele Poselstwa R.P. oraz Dywizji S. P.

NASZ PORADNIK

Poniżej podajemy spis artykułów tekstylnych, które obecnie są dozwolone do wysyłki za granicę ze Szwajcarii:

Tkaniny	z prawdziwego jedwabiu na metry	poz. 447 d 1/6
„	ze sztucznego jedwabiu na metry	„ 447 h 1/5
„	z Zellwolle (sztucznej wełny)	„ 447 g 1/3
Wstążki	z prawdziwego jedwabiu	„ 449 a
„	ze sztucznego jedwabiu	„ 449 b
„	z Zellwolle	„ 449 c
Koce, derki i obrusy	z prawdziwego jedw.	„ 453 a
„ „ „	ze sztucznego jedw.	„ 453 b
„ „ „	z Zellwolle	„ 453 b

Wywóz gotowych artykułów konfekcjonowanych jak: pończochy, bielizna itp. jest zakazany.

Wydział eksportowy w Burgdorfie wydał cennik Nr 2 artykułów, które zamawiać można za jego pośrednictwem, obejmujący paczki żywnościowe, mydło, zegarki, paczki tekstylne (materiały ubraniowe, materiały bieliźniane).

Upominki dla przyjaciół-Szwajcarów

1) Kopp Max — Polen Fr. 3.—
2) Krasiński Zygmunt—La comédie non divine 1.—
3) Liberek St. — L'amitié polono-suisse „ 1.50
4) Liberek St.—Les Polonais au Pays de Vaud 3.50
5) Wellisz Léopold — Une amitié polono-suisse. Adam Mickiewicz, Juste et Caroline Olivier „ 5.—
6) Le Chant de la Pologne „ 5.—

Wszystkie wyżej wymienione książki można zamówić, przesyłając należność przekazem pocztowym pod adresem: Polnisches Museum, Rapperswil (St.G.). Nadmieniamy, ze Muzeum Polskie podejmuje się odesłać zamówione książki jako prezenty świąteczne bezpośrednio pod wskazanym przez zamawiającego adresem.

Wiedza o wojnie

T O R

W numerze 46 Gońca Obozowego z dnia 15. 7. 1942 pisaliśmy już o torpedach. Tym razem dajemy nadesłany nam dokładny opis tych podwodnych pocisków.

Torpeda jest właściwie małą łodzią podwodną z własną maszyną napędową, ale bez obsady. Ma formę długiego walca, z przodu zakończonego zwykle półkulą, a z tyłu takim kształtem, jaki zwykłe granaty miewają z przodu. Średnica tego walca czyli kaliber wynosi około pół metra, a długość całości dochodzi do 6 metrów, ciężar do 2000 kg.

Przednia część zawiera ładunek wybuchowy, 150 do 200 kg bawełny strzelniczej, trotylu itp. i zapalnik udarowy, działający przy uderzeniu o twardą przeszkodę, np. ścianę okrętu.

Następny przedział zajmuje zbiornik zgęszczonego powietrza, które, jak później zobaczymy, służy do zasilania maszyny napędowej. Powietrze to stoi pod ciśnieniem 150 do 200 atmosfer, wobec czego zbiornik musi być wykonany z dość grubej blachy stalowej, podczas gdy inne ściany torpedy mogą być zrobione z cienkiej blachy stalowej albo brązowej.

W trzecim z rzędu przedziale znajdują się urządzenia maszynowe do napędu i sterowania torpedy. Dawniej motor napędowy bywał zasilany tylko powietrzem zgęszczonym, pracował więc jako motor pneumatyczny, podobnie jak znane silniki przy wiertarkach pneumatycznych, stosowanych w warsztatach, kamieniołomach, przy budowie tuneli itd. Dziś, aby lepiej wyzyskać zapas powietrza i uzyskać większą szybkość i donośność torpedy, stosuje się silniki parowo-powietrzne. Prócz zbiornika zgęszczonego powietrza torpeda zawiera jeszcze zbiornik nafty i zbiornik wody. Z chwilą wypuszczenia torpedy zapala się w małym kociołku palnik naftowy, przy czym płomień podsyca dopływ zgęszczonego powietrza; równocześnie wstrzykuje się do tego kociołka strumień wody. Woda paruje pod wpływem gorąca i tworzy się mieszanina pary i gazów ze spalonej nafty; ta gorąca mieszanina pędzi motor napędowy podobnie jak para z kotła parowego maszynę parową.

Motor napędza za pomocą długiego wałka dwie śruby okrętowe, umieszczone na końcu torpedy; muszą być dwie, obracające się w przeciwnych kierunkach, bo pod naciskiem jednej tylko śruby torpeda sama zaczęłaby się obracać około swej osi.

Za pomocą odpowiedniego wentyla można przed wypuszczeniem torpedy nastawić ciśnienie powietrza, idącego ze zbiornika do motoru. Przy wysokim ciśnieniu uzyskuje się wielką szybkość torpedy, blisko 100 km/godz., ale zapas powietrza wyczerpie się po przebyciu 1 do 1,5 km; przy niskim ciśnieniu szybkość będzie znacznie mniejsza, ale zapas powietrza wystarczy na 10 do 15 km.

Bardzo skomplikowane są urządzenia sterowe. Torpeda, zupełnie jak samolot, posiada dwa stery, głębokościowy i boczny, oba działające automatycznie. Pierwszy, to dwie płytki na tylnym końcu torpedy, obok śrub okrętowych, zajmujące w zasadzie położenie poziome, ale mogące się wychylać z niego o pewien niewielki kąt. Zadaniem tego steru jest utrzymanie torpedy na pewnej głębokości pod wodą; głębokość tę można nastawić przed wypuszczeniem torpedy, zwykle około 3 m pod powierzchnią wody — niedużo mniej, bo bieg torpedy zanadto

PEDY

byłby przez fale morskie wytrącony z nadanego kierunku, a niewiele więcej, bo wtedy torpeda mogłaby przejść pod dnem atakowanego okrętu, nie wybuchając i nie czyniąc mu szkody. Ster wysokościowy działa w sposób następujący: w ścianie torpedy umieszczona jest cienka blaszka, stojąca pod ciśnieniem wody otaczającej. Im głębiej torpeda znajduje się pod wodą, tym wyższe jest ciśnienie wody na tę blaszkę i tym bardziej ona się ugina. To ugięcie działa na stawidło (podobnie jak w maszynie parowej) małego cylindra, na którego tłok działa powietrze zgęszczone; tłok ten zaś jest połączony ze sterem głębokościowym. Jeżeli torpeda idzie np. za głęboko, ciśnienie wody zewnętrznej ugina membranę (ową blaszkę) do wnętrza, ta zaś za pośrednictwem zgęszczonego powietrza nastawia ster głębokościowy tak, że ogon torpedy idzie na dół, a ona sama przez to do góry; przebieg ten odbywa się odwrotnie, jeżeli torpeda płynie za płytko pod wodą.

Bardziej skomplikowana jest aparatura, która utrzymuje prostolinijny bieg torpedy w kierunku bocznym, tj. nie pozwala jej zboczyć z raz nadanego jej kierunku; polega ona na własnościach bąka, znanej zabawki dziecinnej, w technice zwanej żyroskopem. Przyrząd taki, w szybki ruch obrotowy wprawiony, posiada tę własność, że z wielką siłą stara się utrzymać położenie swej osi obrotu (bąk dziecinny nie daje się łatwo przewrócić). Z własności tej korzysta się w ten sposób, że łożyska osi żyroskopu łączy się, znowu za pośrednictwem małej maszynki pneumatycznej ze sterem bocznym, płytką pionową, umieszczoną na tylnym końcu torpedy, tuż przed śrubami okrętowymi. Żyroskop puszcza się w ruch obrotowy za pomocą małej turbinki powietrznej równocześnie z wypuszczeniem torpedy; tutaj opisany »aparat prostobieżny« utrzymuje kierunek biegu, który torpeda miała w chwili uruchomienia żyroskopu, a więc w chwili wypuszczenia. Jeżeli np. torpeda zrzucona z samolotu (naturalnie z niewielkiej wysokości nad wodą), zostanie przez falę wytrącona z pierwotnego kierunku, aparat prostobieżny natychmiast zaczyna działać i przy pomocy steru bocznego przywraca ten kierunek, w którym została wycelowana i wypuszczona.

L. E.

SPRAWY POLSKIE

Ku porozumieniu

Do nagłówka tego zdają się upoważniać nas wygłoszone 11 listopada przemówienia prezydenta RP. Raczkiewicza i premiera Mikołajczyka, w których wyniki narad moskiewskich są określone jako zdecydowanie dodatnie. Granica wschodnia wprawdzie nie była wymieniona, lecz co się tyczy naszej granicy zachodniej, to — według premiera Mikołajczyka — Moskwa zburzyła legendę o rzekomej nienaruszalności granic niemieckich, zwłaszcza jeśli chodzi o obszary, które by mogły służyć za podstawę strategiczną do nowych planów agresywnych. W Londynie odnosi się wrażenie, że zwrot ten niedwuznacznie wskazuje na Prusy Wschodnie oraz na Śląsk Górny i Opolski, co do których nie od dziś zgłaszają Polacy swe pretensje. Rzecznik rządu polskiego podkreślił zarazem, że Polska pragnie żyć z Rosją w przyjaźni i pokoju oraz utrzymywać jak najbliższą współpracę z narodami sprzymierzonymi.

Pewnego rodzaju cieniem na te wynurzenia kładzie się głos miesięcznika moskiewskiego »Wojna i raboczyj kłass«, gdzie czytamy ponownie zastrzeżenie przeciwko tworzeniu jakichkolwiek bądź »kordonów sanitarnych« (mowa o polskich planach federacyjnych. P. Red.), mających rzekomo odgrodzić Rosję od reszty Europy, a będących dziełem „polskich emigrantów, pozostających bez wszelkiego związku z ludem polskim“. Jak widzimy, używane tu są argumenty bardzo dowolne, nie wytrzymujące rzeczowej krytyki, bo np. nie wiadomo dlaczego nieduża federacja Polski i Czechosłowacji miałaby zagrażać ogromnej federacji sowieckiej i nie potrzeba też dowodzić, jaki jest związek naszego legalnego rządu z narodem.

NZZ. w korespondencjach z Londynu z dn. 10 i 12. XI dość szeroko omawia zagadnienie stosunków polsko-sowieckich podkreślając, że udział Polski w walce ze wspólnym wrogiem znajduje całkowite uznanie po stronie rosyjskiej. Tak więc lotnicy polscy spotykają się z najwyższymi pochwałami prasy sowieckiej, aczkolwiek — jak zauważa pismo — podlegają oni zwalczanemu przez Moskwę

Z wedrówek redakcyjnych

JADE DO WIESENDANGEN

(DOKONCZENIE)

Nazajutrz od wczesnego ranka łażę po szpitalu. Wszędzie uderza nadzwyczajna czystość i celowość organizacji w najdrobniejszych szczegółach. W każdym baraku ustępy, natryski z wodą zimną i gorącą, piecyki do opalania w zimie, osobne pokoje do odpoczynku czy jedzenia oraz dla sanitariuszy. Sto łóżek szpitalnych stale jest zajętych. Poza normalnym leczeniem na miejscu, szpital prowadzi badanie i leczenie ambulatoryjne: przeciętnie 60 wizyt miesięcznie z bliższych i dalszych obozów okolicznych. Zasadniczo — oprócz chorób wewnętrznych, skórnych, dentystyki (przeciętnie około 200 zabiegów dentystycznych miesięcznie) i laryngologii — specjalnością szpitala jest chirurgia (przeciętnie 60 operacyj miesięcznie). Zaopatrzenie szpitala w sensie pomocy lekarskich na ogół dobre (sale operacyjne z centralnym ogrzewaniem, aparat Roentgena etc.). Siły lekarskie — własne. Własny personel pomocniczy, stanowiący początkowo materiał przeważnie b. surowy — szkoli się w zakresie pielęgnowania chorych, wykazując doskonałe postępy.

Pierwszy zespół lekarski zjechał do Wiesendangen 10 września 1941. Roboty budowlane (dawniej mieścił się tutaj obóz żołnierski) były już w toku. 20 października 1941 nastąpiło otwarcie szpitala: z miejsca rozpoczął pracę oddział chorób wewnętrznych, w trzy tygodnie później ruszyła chirurgia.

— Dobrodziejstwo własnego szpitala — mówi jego komendant — ocenić mogą najlepiej sami chorzy. Staramy się przywrócić zdrowie tym wszystkim, którzy do nas przy-

rządowi polskiemu w Londynie. Nie mogło ujść uwagi tego rządu, że walczące po stronie rosyjskiej oddziały polskie, które stanowią siłę jednego korpusu (dywizje piechoty im. Tadeusza Kościuszki i im. gen. Henryka Dąbrowskiego oraz dywizja pancerna im. Bohaterów Westerplatte) nie mogą być określane jako ,,komunistyczne". Według wiadomości posiadanych przez Londyn, większość tych oddziałów jest nastrojona b. patriotycznie, a nie partyjno-politycznie. Dywizja im. Kościuszki i dywizja pancerna znajdują się prawdopodobnie w rosyjskiej grupie uderzeniowej, zmierzającej od Żytomierza w kierunku granicy polskiej. W związku z tym Rosjanie stawiają zarzut, iż armia polska na Średnim Wschodzie stoi bezczynna. Jednocześnie według tej samej informacji rząd polski w Londynie miał powziąć decyzję wysłania zrazu jednej, a następnie i dalszych polskich dywizji do Włoch. Tej właśnie decyzji przypisać należy inspekcję Armii Polskiej na Wschodzie, odbytą przez gen. Sosnkowskiego w drugiej połowie listopada.

— W komunikatach z Londynu z 8 i 9. XI znajdujemy wzmianki o udziale polskich sił zbrojnych w walce przeciwko Niemcom: Dowódca ORP ,,Dzik" odznaczony został orderem Virtuti militari. Dowodzony przez niego okręt podwodny zatopił na morzu Śródziemnym w ciągu ostatnich 3 miesięcy 14 niemieckich statków o ogólnej wyporności 47.000 ton.

W tzw. ,,lotach wymiatających" nad północną Francją biorą często udział dywizjony polskie, atakujące głównie obiekty kolejowe.

Uwaga: W zakończeniu artykułu »Przyjaźń polsko-amerykańska« z poprzedniego numeru opuszczone zostały omyłkowo słowa uroczystego przyrzeczenia prez. Roosvelta z listu do prezesa Rady Polskiej w Stanach Zjedn., Świetlika. Słowa te brzmiały: »...Poland shall rise again« (Poska znowu powstanie).

WIEŚCI Z FRANCJI

Trzy kryzysy

Przed rezydującym w Algerze francuskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego powstały naraz dwie wielkie trudności, których skutków na razie nie da się przewidzieć, można jednak już dziś sobie powiedzieć, że będą one wielkie. Jedna, to kryzys w łonie samego Komitetu, który się ujawnił w ustąpieniu gen. Giraud ze stanowiska prezesa Komitetu, którą to godność piastował wespół z gen. de Gaulle, druga trudność to wypadki w Libanie.

Brak zgody w łonie Komitetu jest nam znany od dawna, a z trudem sklecone porozumienie między obu generałami nie zapowiadało długiego istnienia ze względu na wielkie między nimi rozbieżności zarówno w dziedzinie wewnętrznej jak i w orientacji politycznej. Kryzys jeszcze nie jest zażegnany, czego dowodem to, iż wkrótce po ustąpieniu ze stanowiska prezesa Komitetu gen. Giraud był bliski zrzeczenia się nawet stanowiska naczelnego wodza. Tak czy inaczej wypadki te zachwiały w dużym stopniu powagą Komitetu Wyzwolenia Narodowego, jednakże więcej szkody przyniosło mu to, co się obecnie dzieje w Libanie.

Zanim przejdziemy do omawiania samego zatargu, musimy sobie choć w ogólnych zarysach uprzytomnić całość zagadnienia libańskiego, szerzej zaś mówiąc — syryjskiego.

Od roku 1920 Francja sprawuje z ramienia Ligi Narodów mandat nad Syrią, która jest krajem o powierzchni 150.000 km kw. i liczy 3 miliony ludności. Leży na północ od Palestyny między wybrzeżem morza Śródziemnego, granicą turecką i Irakiem. Przy niewielkim stosunkowo obszarze i małej liczbie ludności Syria jest niebywałą gmatwaniną ras, ludów i religii nawzajem zacięcie się zwalczających. Ta

---

chodzą. Czują się tutaj jak w domu. Zostają u nas tak długo, aż ich nie wyreperujemy należycie i wszechstronnie.

W niedzielę wybieram się do kaplicy obozowej. Nabożeństwo odprawia ks. B. Kaplica przepełniona. Ktoś od rozsłonecznionych drzwi intonuje mocnym głosem nasze proste pieśni. Podchwytujemy coraz śmielej. Przez otwarte drzwi i kolorowe witraże pada na żołnierskie sylwetki złoto wczesnego przedpołudnia. Rozświetla się życie i rozjaśnia droga, wiodąca poprzez tę kaplicę i Chrystusa na ołtarzu, poprzez łóżka szpitalne i nieodrutowane baraki do celu, dla którego rozproszyła nas wszystkich po szerokim świecie burza wrześniowa 1939. W kaplicy jest jasno. Mocnym akordem kończy się »Boże coś Polskę...« Z modłami o zdrowie chorych łączy się w serdecznej jedni modlitwa o wolność ojczyzny. Krzyż goreje wysoko w słońcu października.

— — — — — — — — —

Po niedzielnym obiedzie — przechadzka. Pod górę — w kierunku pobliskiego lasu — przez kolorowe jesienią winnice. Nikt tu nie pyta o przepustki; — można swobodnie łazić aż pod najbliższy horyzont lub — w lecie — zażywać rozkoszy pobliskiej pływalni. Komendantem warty, składającej się zresztą z kilku zaledwie żołnierzy szwajcarskich, jest tutaj nasz porucznik, będący zasadniczo kwatermistrzem. Oczywiście również... poznańczyk. Uśmiecha się dyskretnie, gdy mówię o »zwielkopolszczeniu« szpitala. I usprawiedliwia się wyniosłą sylwetką dyrektora od apteki, który — jak ten od »asystowania« chirurgii — jest z Krakowa.

W drodze powrotnej spotykamy czarnego »zębidrzyja«: jego specjalnością jest maszyna do reperacji zębów (taka z nożnym napędem...), którą włada zresztą — jak słyszałem — w sposób mistrzowski. Oczywiście proponuje mi przegląd uzębienia. Na szczęście z tej nowej opresji ratuje mnie sylwetka wśród internowanych — nawet w szpitalu — mocno zakazana, bo... kobieca. Jest naczelną i pierwszą, bo jedyną, »siostrą« w szpitalu. I, oczywiście, jest... z Poznańskiego. Jako sanitariuszka przyszła z dywizją na internowanie i obecnie pracuje w laboratorium szpitalnym. Wzdycham rozmarzony. I aż mi jest nieswojo: możnaż tak swobodnie rozmawiać z kobietą, iść wzdłuż baraków, śmiać się i cieszyć — i nie oglądać się ukradkiem, czy nie nawinie się skądziś wszędobylski »konik parowy«?

Okazuje się, że w Wiesendangen można...

Ale dzieją się tutaj jeszcze inne dziwy. Z polskiego szpitala, zaludnionego do niedawna cierpiącymi »Prugarczykami«, Wiesendangen staje się powoli miejscowością leczniczą o charakterze międzynarodowym i międzysojuszniczym: Polacy leczą i pielęgnują tutaj jakiegoś Araba, który nawiał z Włoch, kilku Anglików z armii gen. Mont-

gmatwanina znalazła swój wyraz w tym, że cały obszar rozpada się na kilka państw: Syrię ze stolicą Damaszek, republikę Libanu (15.000 km kw. i 800.000 mieszkańców) ze stolicą Bejrut, państwo Dżebel-Druzów, państwo Ladikija i wreszcie niezależny okręg Aleksandretty, który na krótko przed wojną odstąpiono Turcji. Większa od narodowościowej jest tu mieszanina religii, gdyż jedni wyznają tu religię muzułmańską, drudzy chrześcijaństwo różnych obrządków (najliczniejszą grupę stanowią tu maronici, znani ze swego przywiązania do Francji), Druzowie mają swoją własną religię, gdzie pierwiastki muzułmańskie i chrześcijańskie mieszają się z dawnymi wierzeniami pogańskimi, a którzy tajemnic swej religii strzegą tak zazdrośnie, że dla najwnikliwszych badaczy ma ona jeszcze wiele tajemnic. Dodajmy wreszcie do tego różne sekty, jak czcicieli szatana, a otrzymamy dość plastyczny obraz tej przedziwnej mozaiki.

Syria posiada ponadto wielkie znaczenie strategiczne i gospodarcze, bo przez jej teren przechodzi rurociąg, doprowadzający naftę z Iraku do wybrzeża morza Śródziemnego. Znaczenia nafty nie trzeba nikomu przypominać. Trafnie to ujęto w powiedzeniu, że tam gdzie się znajdzie kropla nafty, zjawia się natychmiast jeden Anglik i dwu Amerykanów.

To wszystko składa się na to, że Syria jest idealnym terenem intryg międzynarodowych, i to nie dzisiaj dopiero, a każde wydarzenie na jej terenie odbija się szerokim echem w całym świecie, a szczególnie w państwach, które z tych czy innych względów szukają tu swych korzyści.

Dla świata muzułmańskiego Syria jest ogniwem, którego nie można pominąć przy rachubach przywrócenia dawnej jedności wyznawców proroka. Że znaczenia strategicznego Syrii wynika, że Anglia nie może patrzeć obojętnie na to, co się w niej dzieje, a do tego dochodzi i nafta, która zarówno dla niej jak i dla Ameryki posiada wielką wagę. I Rosja chciałaby też mieć tu coś do powiedzenia. Sami zaś Syryjczycy skłonni są szukać możnej opieki raczej u tych mocarstw, które ze względu na swe oddalenie, jak np. Stany Zjednoczone, nie mieszałyby się do jej spraw wewnętrznych. Przy takim układzie sił i dążności mandat nad Syrią sprawuje Francja, więc nic dziwnego, że napotyka tu na wielkie trudności, i że przy lada okazji o wybuch nie trudno, ostatnie zaś wydarzenia nie są jedynym tego rodzaju wypadkiem: w roku 1924 Francja musiała prowadzić długą i krwawą wojnę z Druzami.

Po zajęciu Syrii przez Sprzymierzonych w ciągu tej wojny gen. Catroux w porozumieniu z nimi zapowiedział, że Syria otrzyma pełną niezależność polityczną, rozumiejąc jednak, że nastąpi to w odpowiednim czasie i drogą odpowiednich układów, a nie na mocy jednostronnej decyzji. Tymczasem rząd republiki libańskiej poszedł dalej i w dniu 8 listopada ogłosił swą niezależność i to w chwili, gdy wysoki komisarz Francji na Syrię, Helleu, wracał z Algeru z liberalnymi instrukcjami, które Komitet Wyzwolenia Narodowego wydał na wieść, że coś się w Syrii zaczyna gotować. W odpowiedzi na krok Libanu władze francuskie, stając na gruncie formalnych i obowiązujących układów, uciekły się do siły, aresztując członków rządu i parlamentu libańskiego. W Bejrucie i innych miastach doszło do demonstracji, z obu stron polała się krew.

A na to, jakby za pociśnięciem guzika, podniosły się protesty w Egipcie, Iraku, Transjordanii i Arabii przeciw zbyt srogim posunięciom francuskich władz mandatowych. Niezadowolenie z tego wyraziły również Wielka Brytania i Stany Zjednoczone.

Wkrótce okazało się, że alarmy są przesadzone, bo i aresztowania nie były tak liczne, a rozruchy tak krwawe, jak w pierwszej chwili donoszono. Gen. de Gaulle wygłosił pojednawcze przemówienie i dla załagodzenia zatargu wysłał do Syrii gen. Catroux, który cieszy się na Bliskim Wschodzie wielką popularnością. I w chwili, gdy to piszemy, zatarg zaczyna tracić na swej ostrości.

Do tych dwóch kryzysów w łonie Francji walczącej doszedł trzeci — ustąpienie marszałka Pétain ze stanowiska naczelnika państwa w dniu 18 listopada. Krok ten — o ile wiadomość ta jest prawdziwa — będzie miał niewątpliwie dalekosiężne skutki. *(b)*

---

gomery, Greka z armii Ricc'ego, Polaka spod Tobruku etc.

— Leży taki czarny facet, — uskarża się publika barakowa — łypie oczyma na wszystkie strony, a w żadnej ludzkiej mowie ani be, ani me...

Istotnie, z białej pościeli uśmiecha się do mnie jakaś czarna gęba i mruczy coś z zadowoleniem, gdy podsuwam papierosa. Ktoś próbuje zagadać po francusku i po niemiecku, inny biedzi się po włosku, jeszcze inny krztusi się angielszczyzną — wszystko na nic. Podobnie zresztą jest z Grekiem czy z Anglikami. Wszyscy tylko po swojemu. I nie bardzo wiem, czy ci egzotyczni w naszym szpitalu przybysze kiedyś się nauczą po naszemu (choć klną już po polsku siarczyście...), natomiast pewien jestem, że nasi niebawem naumieją się i po grecku i po angielsku i po... arabsku. Próbują w każdym bądź razie usilnie. I z sercem. Jak z sercem odnoszą się do swoich z daleka przybyłych towarzyszy niedoli i jak sercem dzielą się szczodrze między sobą.

Jeślibym szukał symbolu dla tych w cieniu winnic ukrytych baraków szpitalnych — nie znalazłbym lepszego, jak symbol otwartego szeroko serca polskiego, dbającego pieczołowicie o wszystko cokolwiek



żyje. Bo nie tylko o ludzi. Nie wiem np., czy ilość kotów, które szpital przytulił, nie jest większa od ilości pacjentów i personelu leczniczego razem wziętych. Włóczą się te miauczące i łaszące się stworzonka między chorymi, jak na własnym gospodarstwie, zaglądając ufnie w oczy żołnierskie. Szukają tu schronienia przed apetytem miejscowej ludności, która nie gardzi »kocim przysmakiem«. Co kto lubi... Jest i pies — ogólny ulubieniec — wychowanek »zębidrzyja«. Były obłaskawione wrony czy inne jakieś ptactwo.

Tak, serce na oścież otwarte, to symbol dla Wiesendangen najlepszy...

— — — — — — — — —

Serce — sercem, a sonda — sondą. Tej mi nie darowali.

— Zdejmie pan buciczki... A teraz proszę się położyć... Kocykiem się okryć... Połykać jak ślinkę...

„Sądowicz", który mi ją zaaplikował, był z Sambora. Widocznie celem zmylenia pacjenta co do długości gumowej rury, zapychanej przez usta do żołądka, mówił o

Z ŻYCIA OBOZÓW

Koncert polski w Rapperswilu

Było dużo słońca --- wypełniona po brzegi sala rapperswilskiego hotelu »Pod Łabędziem« --- szczodre datki na polskich jeńców --- dużo serca i oklasków.

Koncert (w dniu 24 października) organizowała »Pro Polonia« przy czynnym i wydatnym współudziale kierownictwa polskiego muzeum w Rapperswilu. Program wypełnili: akademicki chór z Winterthuru, zespół taneczny »Maryna« i śpiewak Z. Pręgowski.

Rapperswil, to nie tylko urocze »miasto róż« (jak wynika z miejskiego herbu), to poza tym miasto może najbardziej w Szwajcarii związane z polskością: zarówno przez muzeum, pełniące od 1870 r. swoje odpowiedzialne zadanie zaznajamiania cudzoziemca z Polską, jak i przez ludzi, których serca dla sprawy polskiej biją tutaj najsilniej. Toteż koncert polski w murach tego miasta, to przeżycie — nie tylko dla wykonawców, ale i dla publiczności — odświętne. Trzeba powiedzieć, że i tym razem --- to już tradycja --- dopisały obie strony.

Zaczniemy od wykonawców. Chór winterthurski wyglądał na estradzie imponująco. Zwarty i całkowicie ze swoim sympatycznym dyrygentem zespolony, wykazuje on bogatą rozpiętość możliwości, która idzie w parze z mądrym i starannym opracowaniem szczegółów. Wydaje się, że najbardziej pozytywną wartością chóru jest jego przekonywujące, choć pozbawione tanich efektów, wykonanie pieśni polskich we wszystkich odmianach: od ludowych --- poprzez żołnierskie --- skończywszy na trudnych i najlepiej zrobionych »Sztandarach na Kremlu« Lachmana. Istotnie, te »Sztandary na Kremlu« --- pomijając tło polityczne --- to poważna pozycja w dorobku chóru, który --- jak można sądzić z całości programu tego wieczoru --- dysponuje bogatym materiałem głosowym, inwencją dyrygenta i poważną pracą całego zespołu. Na internowaniu w mocno specjalnych warunkach i w powodzi sezonowych na ogół naszych chórów --- chór winterthurski jest zdobyczą ogromnie cenną.

Z kolei »Maryna«. Z tą »Goniec« miał do niedawna na pieńku. Tym bardziej należy się jej obecnie wiele słów uznania. Nie za całość jednak, niestety, programu, z którym wystąpiła na koncercie, ale za »Zbójnickiego«. To naprawdę coś wielce udatnego. Zrobiony z rozmachem i werwą --- a przecież bez groźnego w takich wypadkach prymitywizmu. Całość --- z ogniskiem, przy swojskim przekomarzaniu się z dyskretnie zarysowaną dziewczyną, z popisami indywidualnymi i ze zgraniem wszystkich elementów dekoracyjnych i tanecznych --- doskonała. Niestety, już krakowiak jest słabszy. Mógłby znaleźć się na scenie żołnierskiej, w naszym polskim gronie --- zgoda, ale w ramach poważnego koncertu staje się jakimś ciężkim zgrzytem, przypominającym raczej jarmark z chłopakami, którzy, ku rozweseleniu gawiedzi, udają dziewczęta. Jeszcze gorzej jest z kujawiakiem: stylizacja cokolwiek rosyjska --- w sensie pospolitym --- z waleniem kopytami. »Walc angielski z przytupem, a nie kujawiak«, jak to słusznie określił ktoś z publiczności, znający się na rzeczy.

Nazwisko Pręgowskiego mówi samo za siebie. Oczarował on publiczność, dając z siebie wszystko, na co go było stać. Choć, jak się wydaje, trochę nie był w formie (może to wina akustyki?), a wyzwolił się z pewnej matowości głosowej dopiero w końcowej części koncertu.

Publiczność? Było jej --- jak już zaznaczyliśmy --- dużo, b. dużo. Przejmowała się ona koncertem i przeżywała go w nie mniejszym stopniu od wykonawców. I podziwiała --- ze szczególnym uwzględnieniem chóru --- całość, wyrażając swoje uznanie gorącymi oklaskami.

Po koncercie miało miejsce towarzyskie spotkanie działaczy miejscowej »Pro Polonii« i zaproszonych gości. Prezes związku »Pro Polonia«, p. Josef Ammann, podzielił się z zebranymi wspomnieniami ze swej podróży do Polski w r. 1927, kiedy to, jako kapitan wojska szwajcarskiego, znajdował się w asyście honorowej, przewożącej serce Kościuszki z mauzoleum w muzeum rapperswilskim, do Warszawy; mówca zakończył swe przemówienie przypomnieniem hasła tak popularnego w Szwajcarii: »Noch ist Polen nicht verloren!« Gospodarzowi serdecznie i po żołniersku odpowiedział mjr Cz.



(mi)

---

wszystkich rzeczach pieszczotliwie i zdrobniale. A nawet zagrał na gitarze jakieś argentyńskie tango, gdym się dławił przełykaną z trudem gumą. Oczy mi na wierzch wyłaziły --- a ten grał; trzęsła mną febra --- a ten podśpiewywał sobie wesoło, tłumacząc przymilnie i cierpliwie, że to już --- już... A tymczasem to ,,już“ trwało równo godzinę i 20 minut. Ani sekundy mi nie darował, choć kląłem w duchu (bo i jakże inaczej?) na czym świat stoi, wierzgając z rozpaczy nogami. Po sondzie przyszła... krew, której utoczyli mi z beczkę. Raz z ramienia, dwa --- ,,z paluszka“. I wszystko to zbierali do jakichś probówek, choć prościej byłoby lać bezpośrednio do wiadra. Na ogół płyny tutaj są w poważaniu. Nasz ,,Szefuniu“ --- czarny, mego wzrostu, wiecznie zadowolony z życia a wprost przeciwnie z pacjentów, którymi się opiekował - - potrafił zabierać --- ot tak sobie --- ,,do tej buteleczki, rano...“ Do analizy --- powiadali...

Tę ,,kropelkę z paluszka“, to mi wycisnął na jakieś szkiełko w laboratorium znowu jakiś poznaniak. Zginał się nade mną, jak trzcina, uśmiechając się chytrze do swej sąsiadki - sanitariuszki, wspomnianego już ,,dziwu“ Wiesendangen (proszę pamiętać: z Poznańskiego). Zanim poszedłem na stół, pod Roentgena, w łapy wspomnianego już na wstępie ,,wnętrznościowca“ — poznaniaka, odetchnąłem w ,,poznańskiej“ atmosferze obsadzonego przez Poznań laboratorium. Pod Roentgenem wymasowano mnie solidnie. I wreszcie ustalono diagnozę:

— Nic mu nie jest...

Trzeba przyznać, że tą samą diagnozę, oprócz kolegów redakcyjnych na wyjezdnym do szpitala, ustalił już na kilka dni przed wyrokiem wysokiego trybunału lekarskiego poznaniak z laboratorium (ten od ,,kropelki“z palca), zwracając się do swej sąsiadki-poznanianki:

— I pani wierzy, że on jest chory? Nic mu nie jest! To symulant... On jest z ,,Gońca“ --- przyjechał tutaj, ażeby nas opisać!...

Czy miał rację?

Pozostawiam to domyślności naszych Czytelników...

(m)

Czytelnicy piszą



O krytyce laików

»Szczególną kategorię — pisze por. M. K. z M'buchsee — stanowi krytyka laików, tj. ludzi niefachowych. Nie można wykluczyć wydawania sądów przez laików. Wymaga tego bowiem życie społeczne. Laicka publiczność reaguje często na przedstawieniu teatralnym oklaskami lub gwizdaniem. Wyraża ona w ten sposób swój sąd o sztuce lub grze aktorów. Sędziowie przysięgli, jako laicy, krytykują zachowanie się przestępcy. Obywatele, biorący udział w głosowaniu publicznym, wyrażają w ten sposób swój sąd krytyczny. Niejednokrotnie brak wprawdzie tym sądom oparcia o głęboką znajomość przedmiotu, ale zastąpić ją w tym wypadku musi wzmożone poczucie odpowiedzialności, rozwaga i ostrożność.

W życiu społecznym spotykamy się z krytyką na każdym kroku. Inaczej być nie może. Krytyka ma bowiem na celu wyrównanie ostrości, które powstają we współżyciu członków społeczeństwa. Jest jednak szkodliwa, gdy narusza równowagę, panującą w społeczeństwie, przez uprawianie krytyki dla samej krytyki«. Tyle nasz Czytelnik. Zestawiając powyższe z wypowiedzią tego samego autora w poprzednim numerze, widzimy, że w każdym wypadku o celowości krytyki decyduje przede wszystkim dobra wola i poczucie odpowiedzialności krytykującego. I to jest bodaj najważniejsze. W taki bowiem sposób unika się tzw. krytyki dla krytyki, polegającej na jątrzeniu i kłóceniu — bez wyraźnego wskazania, jak złu, które się piętnuje, zaradzić.

Czego nikt nie porusza

»W gazetce żołnierskiej — pisze Antoni ...ski z St. Blaise — porusza się różnego rodzaju sprawy dotyczące życia obozów. Do tej pory jednak nikt jeszcze nie poruszył sprawy życia między żołnierzami różnych wyznań. Uważam, że sprawa ta z punktu widzenia polskiej racji stanu została jasno postawiona. Niestety, w obozach żołnierze odnoszą się z wielką niechęcią, a często wręcz wrogo do swoich kolegów innego wyznania. Postępowanie niektórych kolegów w tym względzie jest godne potępienia. O ile mamy iść wg wskazań naszych władz i nade wszystko postępować w myśl naszej racji stanu, to powinniśmy stanowczo wejrzeć w tę sprawę i ten przykry stan rzeczy zmienić«.

Czym jest dowódca?

»Nie ulega wątpliwości, że dla żołnierza — pisze nasz stały współpracownik A.P. z Albisbrunn — osoba jego dowódcy znaczy tak wiele, że prawie wszystko i że za tym interesuje się on bardzo tą osobą. Czego żołnierz żąda od dowódcy? O bardzo wiele! Przecież w jego ręce składa w czasie wojny swoje życie, los swój i swej rodziny. Gdy lokujemy oszczędności, to szukamy pewnego, godnego zaufania banku. Gdy powierzamy kierowcy maszynę, na której z nim mamy odbyć podróż, badamy, co to za człowiek. Czy zna swój fach, czy uczciwy, z inicjatywą, zaradny, oszczędny i czy wreszcie nie złamie nam karku na zakręcie? Czego żołnierz żąda od oficera? Tego wszystkiego, co mu pozwala być dumnym z dowódcy. Dobrym dowódcą być nie łatwo. Znacznie łatwiej być złym. Trzeba też mieć szczęście, ale trzeba i rozumu. Trzeba ludzi znać. Trzeba w nich czuć współludzi. Trzeba się z nimi razem cieszyć i smucić, razem być głodnym i znużonym. I trzeba zapomnieć o sobie. Dowódca jest od tego, aby myślał o oddziele, a nie oddział od tego, by myślał o dowódcy. Taki już los. Nie można tylko chcieć uchodzić za dobrego. Dobrym trzeba być naprawdę. I mądrym, ale mądrym naprawdę; uczciwym, ale to bez zastrzeżeń. I odważnym, bo jakże inaczej? To wszystko z czasem staje się widoczne. Gdyby niejeden dowódca usłyszał, jak i co o nim mówią — straciłby odwagę pokazania się przed oddziałem. Każdy lubi być takim, aby »za nim wszyscy w ogień«. Bo to daje najwyższe zadowolenie. Ale nie każdy chce, nie każdy umie i nie każdy może być takim. Mieć dobrego dowódcę, to szczęście dla żołnierza. Nieraz między nami toczą się w obozie rozmowy na temat:

— A z tym byś poszedł drugi raz na wojnę? — I tu pada nazwisko. — A z tym? A z tamtym, a z owym?

Sąd żołnierzy jest bardzo obiektywny i rzadko krzywdzący. Prawie zawsze uznają, kto dobry i z kim warto pójść drugi raz, ale nie zawsze to głośno mogą powiedzieć. Żołnierze szybko się orientują, za jakiego dowódca chce uchodzić. I... mówią mu, że on takim właśnie jest... A to jest jeno ironia losu: jego, dowódcy — i ich, żołnierzy, wspólna tragedia. Bo świat lubi kłamstwo i kłamstwo awansuje do godności prawdy, ale kłamstwo to nigdy prawdą się nie stanie. Kto nie chce być naprawdę lubianym i szczerze cenionym przez żołnierzy — ten niech sobie i im kłamie«.

Starszy Strzelec

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Wszyscy piszący do »Gońca Obozowego« powinni pamiętać o tym, że do wiadomości redakcji zawsze należy podawać swoje nazwisko i dokładny adres. Prace nadsyłane mogą być podpisywane pseudonimami (zmyślonym nazwiskiem czy imieniem), ale redakcja musi wiedzieć dokładnie, kto jest autorem danej pracy. Oczywiście w wypadku, gdy autor podpisuje swoją pracę pseudonimem — nazwisko jego pozostaje tajemnicą redakcji i nie jest nikomu ujawniane. A więc pamiętajmy: Chwalimy kogoś czy ganimy, wymyślamy redakcji czy wynosimy »Gońca« pod niebiosa — podawajmy bez obawy swoje nazwisko i adres do wyłącznej wiadomości redakcji.

j. p. — Frenkendorf: Niestety, ciekawego materiału Pana w »Gońcu« — nie z naszej zresztą winy — wykorzystać nie możemy. Postaramy się to zużytkować w inny sposób. Może by Pan napisał o życiu swego obozu? Od dawna już nie mieliśmy od was wiadomości.

W. Kryszcz. — Illarsaz: Wykorzystamy. Prosimy w przyszłości raczej o materiał do humoru, z którym mamy najwięcej kłopotu. Wierszy — zwłaszcza tych, pisanych z nudów — mamy stanowczo za wiele.

J. Gaw., — Fryburg: »Wolę Lwowa« wykorzystamy.



Prawda o tramwajach

Tramwaje już o świcie wstają
I wnet zabawa się zaczyna.
Bardzo wesoło jest tramwajom
Na srebrnych, czarnych, sinych szynach.

Gonią się, dzwonią i ścigają,
W południach, zmierzchach i porankach.
I tylko smutno jest tramwajom,
Że muszą stawać na przystankach.

Bo właśnie taka to zabawa,
Że gonić mogą się do woli,
Lecz na przystankach nie przystawać,
Konduktor nigdy nie pozwoli.

Mknie tramwaj tuż-tuż za tramwajem
I dzwoni, że już go dogoni,
A tu przystanek. Trudno. Staje.
Wsiadają. Czeka. Zły. Nie dzwoni.

A tamten tramwaj już ucieka.
I tylko śmieje się i dzwoni,
Że nasz tak na przystanku czeka,
Że go na pewno nie dogoni.

Zabawy tej nie przerywają
I muszą dzwonić, dzwonić, dzwonić.
Wesoło bardzo jest tramwajom,
Że tak nie mogą się dogonić.

Więc człowiek dobrze wychowany
Przeszkadzać nie chcąc im w zabawie
Nigdy nie jeździ tramwajami,
Lecz pieszo chodzi po Warszawie.

Światopełk Karpiński

Nasz horoskop

Czytali zapewne nasi Czytelnicy w ostatnim numerze »Gońca« w artykule »Wróżby i fakty« zdanie autora: »Goniec« nie jest, niestety, wróżbitą. Oburzyło to mocno redaktora tej ostatniej strony, gdyż właśnie uzyskał on »kontakt« ze słynnym astrologiem, który zgodził się od czasu do czasu dawać nam, internowanym, wskazówki, które niejednego przeprowadzą przez czyhające nań niebezpieczeństwa. Czytajcie więc pilnie!

Horoskop, wazny od 1 – 31 grudnia 1943

DLA KUCHARZY OBOZOWYCH

Prawdopodobne niespodziewane zaskoczenia w godzinach porannych. Woda, kości i sałata będą powodem zmartwień. W sprawach sercowych przeczekać, nawet gdyby się miało przypalić.

DLA FUNKCYJNYCH OBOZOWYCH

Powodzenie wasze spoczywa w waszym własnym kałamarzu. Napełnić go przeto świeżo, nie zapomniawszy przed tym umyć.

DLA SZEFÓW

Silne duchowe kontakty z urządzeniem domowym możliwe przez cały czas z wyjątkiem wtorków. Nowych znajomości nie zawierać. Wybitna zmiana w kole przyjaciół, strzec się intrygi, która może prowadzić do zapłacenia kolejki.

DLA POCZTOWYCH

Wewnętrzne siły napinają łuk aż do krańców wytrzymałości; z końcem tygodnia możliwy wystrzał. Prawdopodobne zamknięcie.

DLA TEJ RESZTY

Do plutonowego wyłącznie korzystnie w godzinach zaciemnienia. Ciepło się ubierać! W pierwszej połowie zmiana pogody, wilgoć, możliwy reumatyzm. Korzystnie dla urzeczywistnienia wielkich osobistych planów z wyjątkiem trunkowych.

Dla wyższych stopni planeta Wenus zawieszona wyjątkowo nisko i niesprzyjająco. Nie sięgać nieszczęśliwą ręką.

Na wszelki wypadek

Ludziom, którzy w Anglii pytają się o drogę zwykło się teraz odpowiadać: »Nie wiem. Ja też jestem spadochroniarzem«.

W schronie

W Londynie pewne piękne dziewczę zostało zaskoczone z przyjacielem w czasie zaciemnienia, wskutek alarmu.

— Robercie — powiedziało — naprawdę nie wypadało mnie tak całować przy tych wszystkich ludziach, chociaż nawet było ciemno.

— Ja ciebie nie całowałem — odrzekł przyjaciel, oglądając się wściekłym wzrokiem dokoła. — Chciałbym tylko wiedzieć, który to był. Dałbym mu nauczkę.

— Robercie — westchnęło dziewczę — tego człowieka już niczego więcej nie mógłbyś nauczyć.

Czy pracujemy za duzo?

Często słychać narzekania, że dużo pracujemy. Czy jest tak naprawdę? Porachujmy:

Śpiąc 8 godzin na dobę zużywamy na to 2920 godzin, czyli	122 dni
Przy 8 godzinach dziennej pracy resztę tj. 8 godzin odpoczywamy, czyni to	122 dni
Godzina jedzenia dziennie	14 dni
Niedziele	52 dni
Soboty pół dnia wolnego	26 dni
Na święta, urlop, choroby policzmy	21 dni
Razem	357 dni

A że rok ma 365 dni, więc na prawdziwą pracę wypada — jak wykazuje jasno ten rachunek — zaledwie 9 dni. Chyba nie tak dużo?

ADRESY: Redakcja: Rédaction du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau).
Ekspedycja: Expedition du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau), nr telef. 2.15.71.
Wpłaty dla „Gonca Obozowego“ (na blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern.

Cena „Gonca Obozowego“:
dla oficerow i aspirantow Fr. 0.30
dla podoficerow i szeregowcow Fr. 0.20
dla osob cywilnych (kwartalnie) Fr. 1.80

L’Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l’Internement
Poste de campagne 17